

FUNDACJA GENERAL ELŻBIETY ZAWACKIEJ
Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek
ul. Podmurna 93, 87-100 Toruń, tel. 0048566522186
e-mail: sekretariat@zawacka.pl www.zawacka.pl
NIP 956 16 25 127 KRS 0000041692

zał. f. AR, 2020

MEMORIAŁ
General Marii Wittek



AK W-wa-Ponst. Wers

++
KRÓL Jadwiga
z d. Piekacz
ps. „Lancet”

5060/WSK¹

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — 5060/WSK

Król Jadwiga

2 d. Piękara

ps. „Halsaka”, „Lancet”

I. Materiały dokumentacyjne

I/1 – relacja właściwa K. 1, 2, 1-2

I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora —

I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację K. 15, 9, 15

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):

III/1 – dot. rodziny relatora —

III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939–1945) —

III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 – Inne... —

IV. Korespondencja

V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”] 4

VI. Fotografie

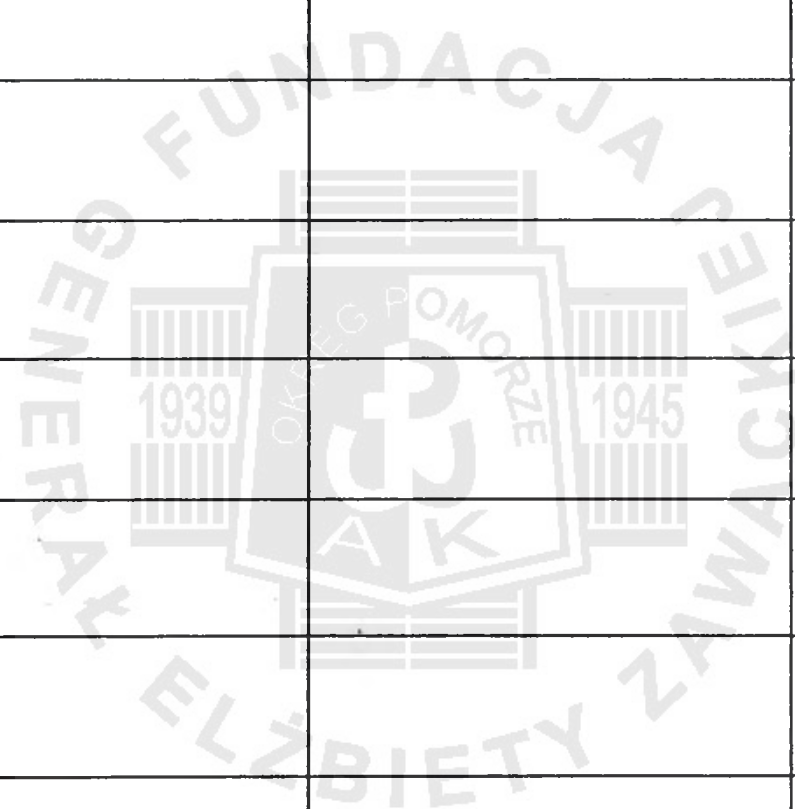
MEMORIAL

General Marii Witte

Grupa Jadwiga z d. Piekarz ps. "Lancelot"

(nazwa zespołu, zbioru, kolekcji i sygnatura akt) 9.5060/WSK

Lp.	Nazwisko i imię korzystającego	Temat pracy (ewent. cel wykorzystania)	Data korzystania
1	Barbara Rojek	założenie teści	11.03.2020
2			
3			
4			
5			
6			
7			
8			
9			



I/1- Relacja własna:

- Biogram Jadwigi Król - sanitariuszki ps. „Lancet” podpisany przez Prezesa Środowiska SZFAK W-wa, kpt. Stefana Sosnowskiego. Nsp. Kserokopia, K.1, s.1-2.



III/1/1

0
180

7.4.0

Kard

Jadwiga

Włodysław

Lubieszka

9.IX.1904 Warszawa

01-554 Warszawa

zawieszona /inwalid.woj./

bezpart.

1939

1945

nie była karana przez sądy PRL.



L.dz. 823 WSKO1 2610

I/1/2

Kol. Jędrzej Król, sanitariuszka
"Lancet" była żołnierzem 7 pp AK
"Cerkuch" od X-1942 r. w baterii puł-
kowej, pluton "Mirna". W dn. 1 sierpnia
1944 r. otrzymała rozkaz przeniesienia
saldunku z punktu wyszkolenia baterii
ul. Rakowiecka na punkt Marszałkowska
3 /np. części baterii/. Droge tę poko-
nała dwukrotnie. W drodze, przy pl. Unii
Lub. doskoczyła ją Powstanie. W chwili
wybuchu Powstania znalazła się na tere-
nie zajętym przez Niemców, którzy "ze-
garnęli" san. "Lancet" w grupie innych
przechodniów i powstańców. Więzieni byli
na terenie siedziby G-po, Al. Szucha 25.
Od 1 do 6-go kilkakrotnie wraz z grupą
innych więzionych była używana do osłony
czołgów niemieckich /w następstwie wybu-
chu i prowadzenie ognia przez osłogi-
następ. pęknięcie błony bębenkowej i usz-
dzenie nerwów słuchowych/. 7.VIII. udała
się się zbiec na teren powstańczy- do ba-
"Isc". Tu pełniła funkcję sanitariuszki
/Szpital polowy Moniuszki 7/11/- w czasie
służby zasma w lewą nogę i rękę. Ewakuowa-
na z rannymi po Powstaniu do Berlina i
niej do oddz. chorych w Oranienburgu. W
lutym wróciła do kraju.

Prezes Stowowiska

/kpt Stefan Sosnowski

II. Materiały uzupełniające relację:

- Nekrolog Jadwigi Król z d. Piękas, zmarłej 19.01.2011, 2r. brak inform. (prawdopodobnie 3.4.) 'Msf. oryg. - K-1, s.1.
- Archiwum Historii Morskiej - Jadwiga Król - rozmowa Aleksandry Zaczek, 21.11.2001r. Wydruk z komputera k.14, s. 2-15.



Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że w dniu 19 stycznia 2011 roku,
w wieku 86 lat
odeszła od nas nasza najukochańsza Mama, Babcia i Prababcia



Jadwiga Król
z domu Piekacz

ps. „Halszka” i „Lancet”
kpt. Wojska Polskiego.

Uczestniczka Powstania Warszawskiego 7 pp „Garłuch”,
odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski
i wieloma innymi odznaczeniami.

Nabożeństwo żałobne odbędzie się
dnia 26 stycznia 2011 roku o godzinie 13.15
w kościele pw. św. Józafata, ulica Powązkowska 90,
po którym nastąpi odprowadzenie do grobu rodzinnego
na Cmentarz Wojskowy - Powązki.

Pograżona w wielkim żalu

rodzina



K. Rac. 20137

7/1

Archiwum Historii Mówionej - Jadwiga Król

43 — 57 minut

Jadwiga Król „Lancet”

- **Co pani robiła przed 1 września 1939 roku?**

Przed 1 września ojciec został powołany do wojska. Był oficerem. Zabrał jednego brata, który już dostał się do podchorążówki, a drugiego brata oddał do rodziny. Sam poszedł z wojskiem na Lwów. Mnie zostawił w Warszawie, bo od mojego urodzenia mieszkaliśmy w Warszawie ze staruszką gosposią na Nowogrodzkiej 43, przy Poznańskiej. W pierwszych dniach wojny dom został zbombardowany, nie miałam gdzie się podziąć. Zostałam tylko w mundurku harcerskim, więc zgłosiłam się do szpitala w dawnym kinie „Polonia”. Tam karmiłam żołnierzy, zwiijałam bandażę, a na noc chodziłam spać do cukierni Gajewskiego na Wilczą, róg Mokotowskiej. Spałam tam na fotelach.

- **A co się stało z pani bratem?**

Starszy brat, który poszedł z ojcem na Lwów, został po drodze ranny w czasie bombardowania i został w Lublinie. Po zakończeniu działań wojennych ojciec zdołał jakoś się prześliznąć i wrócił do Warszawy. Dom był spalony. Zamieszkaliśmy u rodziny. Odebraliśmy młodszego braciszka i zamieszkaliśmy na ulicy Żelaznej 65. Ten dom jednak rozebrano.

- **Była pani sanitariuszką?**

Jeszcze nie miałam żadnego wykształcenia, tylko jako harcerka zwiijałam bandażę. Chciałam się komuś przydać, bo nie miałam ani gdzie mieszkać, ani co ze sobą zrobić. Zostałam sama, bo gosposia uciekła. Zabrała swoje rzeczy w koszyczku i gdzieś powędrowała. Dom się przecież spalił i byłam na ulicy.

- **Do jakiej formacji harcerskiej pani należała?**

To było przy Gimnazjum Eugenii Czyżewiczowej na Żłotej. Po zakończeniu działań wojennych, jak zaczęła się okupacja, byłam bardzo krótko w Szarych Szeregach, ale zostałam między swoimi harcerkami ze względu na to, że mieszkałam na Żelaznej i byłoby za daleko. Nie było wtedy żadnej komunikacji w Warszawie i nie mogłam przemieścić się z ulicy Żelaznej do Śródmieścia. Zaciągnął mnie do pracy w konspiracji późniejszy dowódca Leonard Gliński, z którym codziennie brałam udział przy nasłuchu wiadomości. Notowaliśmy te wiadomości i rano mój ojciec zabierał i zasiłał kolegów swoich w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych na Czerniakowskiej.

- **Skąd były te wiadomości?**

Z Londynu, z radia BBC. Codziennie wykonywaliśmy taką pracę. Był raz bardzo nieszczęśliwy dzień, bo mój dowódca jednocześnie słuchał i w dużym pudełku „Nivea” robił jakieś doświadczenie, które mu wybuchło i okaleczyło ręce. Wpadło w tym momencie dwóch Niemców, bo usłyszeli wybuch. Bardzo blisko, Żelazna przy Chłodnej był punkt niemiecki, gdzie chodzili po okrągłym balkonie i usłyszeli. Za późno już było, żeby ten aparacik do nasłuchu zakryć. On był

zawsze schowany, przez stempelek wyciągaliśmy sznureczek i słuchaliśmy wiadomości. Natomiast wtedy nie było czasu na to, żeby go chować z powrotem do szafy. To mieszkanie było tego pana stryja, który miał części radiowe w dużym pokoju i Niemcy wcześniej już wszystko ostemplowali. My wiedzieliśmy, gdzie jest aparacik i codziennie go wyjmowaliśmy. Pobiełam więc do kuchni, wyrzuciłam resztkę węgla na swoją spódnicę, położyłam aparacik, na niego szufelkę i szczotkę i wysypałam resztę węgla. Naturalnie tak się akurat złożyło, że była ciotka w drugim pokoju, która dobrze mówiła po niemiecku i nie robili rewizji tylko powiedziała im, że to jest wszystko postemplowane i poszli sobie. Tak szczęśliwie uniknęliśmy aresztowania. Ponieważ mieszkaliśmy na tej samej klatce schodowej, brat mój poszedł z Glińskim do lekarza. Była godzina policyjna, ale jakoś szczęśliwie został opatrzony.

- **Pamięta pani, kiedy to było?**

Jeszcze mój brat był o kulach, ale już chodził. To mógł być listopad. Trudno jest mi tak dokładnie powiedzieć.

- **Ale listopad, którego roku?**

To był chyba koniec 1939 roku. W każdym razie Gliński zaangażował i mojego ojca i mnie - taką młodą dziewczynę. Słuchaliśmy radia, przekazywaliśmy do ZUS-u, a oprócz tego zabierał mnie na akcje na Złotą - to był przydział naszego kina. Razem z nim w kinie rzucaliśmy fiolki z gazem łzawiącym, żeby Polacy nie chodzili już. Było takie powiedzenie: „Tylko świny siedzą w kinie.” Jednym razem był niewypał mojego dowódcy, bo rozlała mu się w rękę ta fiolka. Trzeba było szybko wychodzić, ja go zasłaniałam. Przytuliłam się do niego, żeby nie było czuć. Niemiec stał przy wyjściu, ludzie wszyscy powychodzili i jakoś szczęśliwie też nam się udało. Nikt nas nie zaczepił, nie aresztował. Potem razem z nim opiekowaliśmy się córką i początkowo ojcem Żydem, którego ulokowaliśmy w szkole na Żelaznej. Mój dowódca dostał za to medal Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata .

- **Gdzie panią zastał wybuch Powstania?**

Od piątku do niedzieli byłam już na punkcie na Rakowieckiej, tylko że Powstanie zostało odwołane i puścili nas do domu. Przyszłam do domu, a na jednym łóżku leżał ojciec ciężko chory z włączonymi drenami, a na drugim ranny młodszy brat. Był postrzelony w głowę, gdy uciekał znad Jeziorka Czerniakowskiego. Z kolegą jakąś broń tam sobie montowali. W drodze powrotnej tamten był z bronią, a mój brat bez. Zaplątał się w pierwszym przedziale tramwaju, gdzie byli Niemcy i został postrzelony. Jakiś starszy człowiek zawiadomił mnie o tym, bo myślał, że jestem matką i podał mi, na jakim posterunku jest ten młody człowiek. Zabrałam z domu pieniądze, ręcznik i pojechałam go szukać. Kiedy przyjechałam już go nie było. Okazało się że jest przewieziony do Szpitala Ujazdowskiego. Kiedy wchodziłam do szpitala spotkałam lekarza, który machnął ręką, że nie ma jak go ratować. Wtedy powiedziałam, że mam całą rodzinę lekarzy, aptekarzy, że wszystko przyślę i zrobię, żeby go tylko ratował. Kazał mi przywieźć lód. Zabrałam jakiś rower, który tam stał, oczywiście nie mój, pojechałam po lód, przywiozłam i całą noc czuwałam przy nim. Był nieprzytomny przez tydzień.

- **To było przed samym Powstaniem?**

To było przed samutkiem Powstaniem. Po tygodniu się okazało, że został wzięty na prześwietlenie głowy. Już się znalazł jakiś Niemiec, który wiedział, że on tam leży i chciał go wypytywać. A on pierwszy raz jak oprzytomniał to powiedział: „Przecież widzi pan, że ja mam chorą głowę. Jak będę zdrow, to panu powiem, co pan będzie chciał.” Jeden z moich wujów zaryzykował, zabrał go ze szpitala i gdzieś ukrył. Przed samym Powstaniem, kiedy już się dobrze czuł, przyprowadził go do domu. Wtedy zaczęło się Powstanie. Jak poprzednio powiedziałam, przyszedłam do domu bo Powstanie było odwołane i we wtorek pojechałam na podwarszawską wieś w kierunku Wilanowa, kolejką wilanowską, po jakieś kartofle i jarzyny dla ojca i braci. Nie było mnie dwa dni i w domu nic nie było. Wróciłam późno, bo nie było kolejki. Przestała chodzić i dopiero przed czwartą przyjechałam. Dojechałam do Warszawy o godzinie czwartej, idąc od Placu Unii zobaczyłam palącą się gazetę na Polnej i to był już wybuch Powstania. Skierowałam się na Rakowiecką, tam gdzie był nasz punkt, skąd wypuszczono nas do domu jak odwołano Powstanie. Weszłam na pierwsze piętro, pukałam, nikogo nie było, nikt drzwi nie otworzył. W pewnym momencie zorientowałam się, że ktoś idzie po schodach i biegł pies. Pies był dosyć łagodny, nic mi nie zrobił. Poszłam piętro wyżej, bo tak zawsze byliśmy umówieni, że może być jakiś „kocioł” i wtedy trzeba iść do krawcowej, która mieszkała na drugim piętrze. Pukałam, waliłam, a krawcowej też nie było. Zeszłam na dół, przeszedłam obok drzwi, gdzie był nasz punkt, pukałam jeszcze raz, a pan w średnim wieku, schodząc na dół zatrzymał się powiedział do mnie: „No co? Spóźniliśmy się?” Przestraszona schodziłam powolutku na dół, trzymałam dwie teczki z jarzynami, a on dodał: „No to idziemy na Marszałkowską 3 i organizujemy punkt sanitarny.” Bez słowa poszłam z nim. Na Marszałkowskiej 3 otworzył dozorca, wpuścił nas do bramy i tylko jedno powiedział ten pan, który przedstawił się, że jest lekarzem, że z tego domu uciekli Niemcy, jest pusto i tu zrobimy punkt sanitarny. Dozorca nam otworzył, w dyżurce miał klucze od różnych mieszkań i chodziliśmy po nich zabierając prześcieradła, poszwy, ręczniki. Ten lekarz wybierał różne leki, jeżeli też były. Tak spędziliśmy całą noc w dyżurce dozorca na parterze, sami. Trochę może pospaliśmy, ale drugiego dnia po południu zorientowałam się, że tego lekarza nie ma, że sobie gdzieś poszedł. A drzwi przecież były zamknięte na klucz. Jak się spytałam o to dozorca, to się tylko dowiedziałam, że lekarz uciekł gdzieś, ale mamy trzech powstańców. Urzędowali na dachu. Tak przeszedł drugi dzień. Trzeciego dnia rano, bardzo wcześnie, dobijali się Ukraińcy. Dozorca otworzył, wykurzyli nas. Prawdopodobnie ci młodzi ludzie musieli strzelać w kierunku Szucha czy na Bagatelę, bo skąd tak nagle Ukraińcy by przyszli. Dołączyliśmy do ludności, którą prowadzili już od ulicy Puławskiej. Postawili nas na rogatce na Placu Unii, w miejscu, gdzie się kończy Marszałkowska, a zaczyna się Puławska. Rogatka była z czerwonych cegieł, w których były same dziury. Wzięłam od kogoś tuszowy ołówek i zapisałam na kartce kilka osób, które stały ze mną. One mnie zasłoniły i tę kartkę wsunęłam, razem z ołówkiem do dziury z myślą, że może kiedyś ktoś odnajdzie i będzie wiedział, jaki jest los nas, paru osób. Staliśmy tak parę godzin w słońcu, w upale z rękami położonymi na murze i przyszedł rozkaz. Zabrali nas na Szucha. Rozdzielili nas, kobiety osobno i mężczyźni osobno. Wszystkie kobiety skierowano na podwórze, na Szucha 25. Już nie pamiętam, czy tego samego dnia czy następnego, zobaczyłam vis-a-vis mnie siedzącą moją dyrektorkę z gimnazjum, profesor Uklejską. Trzymała jakieś dwie kobiety, które spały jej na rękach. Poznała mnie, jak zobaczyła, to pomachała i nie było żadnej rozmowy między nami. Było pełno ludzi. Tak spędziliśmy całą noc. Rano, prawdopodobnie o piątej przyszedł Niemiec z karabinem, wybrał wszystkie młode dziewczyny i zaprowadził nas w Aleje przed czołgi, na czołgi i za czołgi. Byłam w grupie na trzecim czołgu. Jak Niemcy atakowali Piękną od strony Mokotowskiej, to zorientowałam

się już na czołgu, że trzeba było wejść za czołg, bo jest bardzo niebezpiecznie. Nie było już jednak wtedy żadnego wyboru. Nasi powstańcy rzucali butelkami z benzyną, strzelali, bronili się, a Niemcy pozabierali nam bluzki, zawiązali sobie jak chustki na hełmy i wśród kobiet, po bokach wtoczyli się do tej grupy. W ten właśnie sposób atakowali wszystkie wyloty Alei Ujazdowskich.

- **Jak się Niemcy odnosili do tych kobiet przy czołgach? Jak je traktowali?**

Wszystkie młode musiałyśmy pójść, bo uderzali nas w ramię, co oznaczało, że mamy natychmiast iść. Taka sama historia powtórzyła się drugiego dnia. Jeszcze muszę powiedzieć, że trzeci czołg zapalił się i wycofał się.

- **Pani czołg?**

Tak, ten czołg, na którym byłam. Kazali nam zeskoczyć i rękami sypać piasek na czołg. Sypaliśmy w ten sposób, żeby piasek przedostał się na ziemię i tylko wykonywaliśmy te ruchy. Co drugi, co trzeci ruch sypaliśmy piasek. Już w naszych mózgach powstała jakaś chęć, żeby nie ugasić tego czołgu. Na drugi dzień już byłam mądrzejsza, sprytniejsza i ulokowałam się za czołgami. Tak wróciłam szczęśliwie, bo te kobiety, które były przed czołgami, co widziałam poprzedniego dnia z czołgu, to zostawały i ranne, i czołgające się, i uciekające. Tego dnia kiedy nas zabierali, moja dyrektorka ocierała łzy, żeby mi pokazać, że co z tego, że ona jest takim autorytetem, kiedy nie może mi nic pomóc. Z relacji moich różnych koleżanek dowiedziałam się, że tę grupę starszych kobiet, jak moja dyrektorka, zabrano do Ravensbrück. Te dwie kobiety, które ona ochraniała, to jedna była jej szwagierką, chorą na tyfus. Zamieniły się dowodami, bo szwagierka była tylko pracownikiem gimnazjum, a dyrektorka wiedziała, jakie konsekwencje będą u Niemców, kiedy jest dyrektorką. Tego dopiero dowiedziałam się po wojnie, w czasie PRL-u. Wiedziałam tylko tyle, że podobno zginęła w obozie i cały czas myślałyśmy, że to zginęła dyrektorka, a zginęła faktycznie jej szwagierka.

- **Jak długo pani była na Szucha?**

Byłam od trzeciego do siódmego sierpnia. Otóż siódmego już nie zabrano nas na czołgi. Ten Niemiec nie miał z nami kłopotu, bo krzyczał, my szybko wstawaliśmy, szybko szliśmy. Tego dnia zabrał nas, bo palił się jakiś budynek i trzeba było koks przerzucić. Kilka godzin to robiłyśmy. Teraz muszę powiedzieć szczerą prawdę z całego serca. Zostało nas tam dziewięć dziewczyn. Jedna była już mężatką, miała dziecko, które zostawiła na Placu Unii przy Marszałkowskiej. Poszła po mleko, Niemcy wyrzucili ją z tego budynku i została odcięta od dziecka. Ona błagała tego Niemca, żeby ją puścił. Odstawił nas po pracy do bramy, kazał czekać, a sam poszedł w kierunku Placu Unii. W połowie drogi, gdzieś może na początku, za Litewską 9 była chyba ostatnia waha. On poszedł tam, zapalił papierosa i poszedł sobie gdzieś. Skorzystaliśmy z tego, że go nie ma i jedna ze starszych dziewcząt powiedziała, żebyśmy uciekały na Plac Unii. Okazało się, że między Unią Lubelską a Placem Zbawiciela byli sami Niemcy. Ta matka, która pozostawiła dziecko i jeszcze jedna dziewczyna, pobiegly w kierunku Unii, a my pobieglyśmy na Plac Zbawiciela i skręciłyśmy w prawo, w kierunku Mokotowskiej. Wszystkie siedem dostałyśmy się do naszych powstańców na Mokotowskiej. Tam naturalnie zdziwieni bardzo powstańcy, od razu nas pozamykali i czekałyśmy, aż przyjdzie ich dowódca. Musiałyśmy zdać dokładną relację, co widziałyśmy na Szucha.

- **Kto był tym dowódcą?**

Nie wiem. Osoba zupełnie mi nieznana. Dopiero po kilku godzinach nas wypuścili. Przy przesłuchiwaniu okazało się, że ja nie słyszę, że mam uszkodzony słuch od wystrzałów czołgu, więc trudno było się nam dogadać. Potem dowódca zaproponował nam, że zabierze nas do batalionu „Iwo” na Marszałkowską 72 i będziemy łączniczkami albo sanitariuszkami. Tak się stało i tam byłam około dwa tygodnie. Poczta wspaniale funkcjonowała w Warszawie, więc napisałam kilka słów do lekarza z mojej dalekiej rodziny na Moniuszki 7. Wiedziałam, że ma pensjonat leczniczy. Dostałam szybką odpowiedź, hasło i pozwolono mi przejść z baonu „Iwo”, gdzie właściwie nic się nie działo i przeszłam do szpitala na Moniuszki 7, 9, 11. To były trzy działy, pierwszy na siódemce, gdzie był oddział okulistyczny i tam byłam sanitariuszką. 15 sierpnia, zaraz po przyjeździe zatrudniano mnie do robót gospodarczych. Wzięłam wiadro i poszłam na Świętokrzyską po wodę. Przy barykadach, wracając z wodą, zostałam ranna w lewą nogę i w lewą rękę. Przynieśli mnie gdzieś do piwnic pod piątym, gdzie jest Filharmonia i całą noc tam przeleżałam. Ból był duży, ale ktoś z naszych powstańców, nieznany mi zresztą, przyszedł z butelkami różnych wódek, które odbili podobno pod siódemką. Jakoś tego bólu potem nie czułam, jak wypijałam bardzo dużo alkoholu. Następnego dnia zabrano mnie do szpitala pod siódemką i lekarz tamtejszy wyciął ropę, która już zaczęła się tworzyć i nogę mi opatrzył. W czasie długiego gojenia wystąpiły rozległe ropienia trwające przez cały czas Powstania i potem w okresie pobytu w obozie pracy przymusowej w Niemczech także. Byłam cały czas pod opieką lekarza. Noga nie była całkowicie zagojona, ale normalnie już chodziłam i poruszałam się. Musiałam być sprawna bo byłam potrzebna wszystkim. Powstanie zakończyło się kapitulacją. Musieliśmy żołnierzy z piwnic przetransportować na dworzec, do otwartych wagonów. Wtedy, kiedy żołnierze ranni już byli wszyscy na wagonach, to ja weszłam ostatnia, a na plecach miałam plecak z medykamentami lekarzy. Lekarzy było dwóch - doktor Sobański i doktor Ogrodowczyk. W plecaku była też butla litrowa ze spirytusem. Jak wchodziłam jako ostatnia i nachyliłam się, to Niemiec zauważył spirytus, bo wystawała główka z plecaka i ściągnął mnie. Plecak zabrał, mnie na wahę postawił i kazał mi tam stać. Transport odjechał, ja zostałam. Wtedy jeden z lekarzy rzucił swoją małą walizeczkę lekarską. Jak otworzyłam okazało się, że był tam tytoń. Wiedział, że nie mam żadnych rzeczy i rzucił żebym się może ratowała tym tytoniem w razie potrzeby. Po dłuższym czasie zobaczyłam, że nikt się mną już nie interesuje. To był Pruszków, poszłam do jednej z hał, przykucnęłam sobie. Nie miałam nic, tylko tytoń. Obok mnie była grupka młodych ludzi w średnim wieku i poczęstowałam ich tym tytoniem. Naturalnie chętni się znaleźli. Wzięli dwie paczki, powiedzieli, że resztę mam trzymać, bo mogą mi się w życiu przydać. Podśledzałam ich rozmowę, która była dosyć tajemnicza i domyśliłam się, że prawdopodobnie oni będą uciekali. Całą rozmowę prowadził troszeczkę starszy człowiek, który, tak jak się zorientowałam, był miejscowym pracownikiem.

- **To było w Pruszkowie?**

Tak, to było w Pruszkowie. Usłyszałam jak on powiedział, że o godzinie dwunastej wychodzą. Natomiast, jak się obudziłam była godzina dziesiąta i już ich nie było. Pewnie bali się mnie, bo taka byłam bez rzeczy, bez walizek, jak jakiś szpieg. Poszli kanałami, jak się dowiedziałam po wielu latach. Mam gazetę, w której jest napisane, że inżynier Wójcik zorganizował taką ucieczkę grupy i po wielu, wielu latach skontaktowałam się z nim. Ani ja go nie poznałam, ani on mnie, tylko powołałam się na rozmowę i na te dwie paczki tytoniu tureckiego, który im wtedy podarowałam.

- **Co się z panią potem stało?**

Mnie zabrali na roboty cywilne. Najpierw zawieźli nas do Wrocławia, ale tam nas nie chcieli, a potem kupili nas w Berlinie. Cały dzień były badania, wszystkie kobiety musiały być rozebrane i godzinami czekało się do lekarzy różnych specjalizacji. Tylko się do siebie przytulałyśmy, żeby się ogrzać ciałami, bo to bardzo długo trwało. To było tak straszne upokorzenie, że się pamięta. Dostałam przydział do pracy w tramwajach i autobusach.

- **Wróćmy jeszcze do czasów Powstania, do czasów pani pracy w szpitalu przy Moniuszki. Jaka tam panowała atmosfera?**

Ciężkie przypadki były w szpitalu pod numerem 11, lżejsze pod 9, a takie jak drobniejsze działy się pod 7. Dwaj lekarze, doktor Sobański i doktor Ogrodowczyk musieli codziennie rano przemieszczać się do Śródmieścia na ulicę Chmielną. Było przejście od Chmielnej do Nowego Świata i tam musieli urzędować w punkcie sanitarnym i opatrywać rannych. Zabierali mnie ze sobą. Te przejścia były bardzo ryzykowne, bo jednak ostrzał był na wszystkie strony i różnymi podkopami się przedostawaliśmy. Marszałkowska miała swoje przekopy. Jak byłam tam pierwsze dwa tygodnie, to się nie chodziło ulicami, tylko pod Marszałkowską był tunel, a wszystkie domy miały poprzebijane partery i chodziło się parterami albo piwnicami. Nie chodziło się po ulicach w czasie Powstania, bo strzelali najrozmaitsi gołębiarze. To byli różni folksdojczy, którzy na dachach siedzieli i strzelali do ludzi cywilnych. Po zniszczeniu Prudentialu powstał bardzo duży bałagan. Strasznie duża ilość ludzi napływała ze wszystkich stron. Między innymi przyszli moi ranni koledzy ze Starówki. Opatrywaliśmy ich pod siódmką. Przyszły dwie dziewczyny znajome, koleżanki moje. Jedna z nich odkopała swoją sympatię, swojego chłopaka, który został w piwnicy zasypany. Zorganizowała grupę i przyszedł do nas bardzo ciężko ranny w rękę. Ale nie obcięli mu jej. Odratowano. Bardzo przykre były widoki, kiedy trzeba było oczy wyjmować. Przychodzili ze Starówki strasznie brudni, zakrwawieni. To był tragiczny obraz.

- **Jak było ze środkami opatrunkowymi? Tego nie owało?**

Były środki. Naprawdę były środki. Ci lekarze, którzy byli na miejscu widocznie wiedzieli skąd je brać i dostawali. Był jeden przypadek, że jeden z młodych rannych prosił mnie, żebym odszukała mu matkę. Gdzieś na Śliskiej odnalazłam ją, podałam jej adres i powiedziałam, że leży w tym szpitalu, żeby go odwiedziła. Potem z opowiadania koleżanek, sanitariuszek, dowiedziałam się, że ponieważ amputowano mu nogę, zrobił sobie sztuczną z prześcieradeł. Jak przyszła matka, to on nogi podwinął i pozwolił jej zajrzeć pod kołdrę. Matka w końcu uwierzyła, że on nogę ma, tylko jest ranna i nie może jej pokazać. Już więcej nie przyszła. Potem pytałam się, ale albo zginęła albo gdzieś się przemieściła. Pamiętam, że on miał na imię Zbyszek. Nie wiem, czy to było imię czy pseudonim.

- **Czy istniało jakieś życie religijne? Czy w szpitalu były msze odprawiane?**

Były msze na samym początku. Potem już nie.

- **Codziennie?**

Nie tyle codziennie, ile przy okazji pochówków. Na skwerku na ulicy Moniuszki zakopywaliśmy ludzi i wtedy ksiądz odprawiał króciutkie msze. Nawet jeden z księży, który był księdzem pułku, chrzczył mojego ciotecznego braciszka. Byłam matką chrzestną, a jeden z powstańców był ojcem chrzestnym. Ten mały chrześniak już dzisiaj ma ponad sześćdziesiąt lat, jest lekarzem i miałam z

nim kontakt w czasie PRL-u, bo jak ciężko zachorowałam, to udzielał mi pomocy i opiekował się mną.

- **Czy śpiewało się czasem w szpitalu na Moniuszki?**

Śpiewało się raczej w podwórkach. Codziennie o godzinie szóstej wieczorem wszyscy wychodzili i zapalali światelka. Pod siódmką była figurka, ale przyszło zarządzenie od dowództwa, żeby wykopać studnię. Kopali ją Niemcy i nie było już modłów codziennych. Na przeciwko siódemki była piękna, przedwojenna kawiarnia – restauracja i tam też się odbywały msze, ale chyba tylko w niedziele. Byłam na takiej jednej, a tak codziennie do pewnego momentu wieczorem były śpiewy około godziny szóstej na wszystkich podwórkach.

- **To wszystko, to były śpiewy modlitewne?**

Tak.

- **Czy podczas Powstania może czytała pani jakąś prasę podziemną albo słuchała pani radia?**

Była prasa podziemna. Przynosili ją listonosze. Nawet zachował mi się jeden egzemplarz. To trochę jest w strzępach, ale można przeczytać.

- **Jakie tytuły wtedy pani czytała?**

Normalna prasa była codziennie, tylko nie wszyscy z niej korzystali. Raczej czytali lekarze, różni dowódcy, oficerowie. Dla żołnierzy dawali jedną na sałę, ale nie wszyscy byli w stanie czytać, może nie wszyscy byli zainteresowani. Człowiek, który jest ciężko chory, to jemu trzeba było od czasu do czasu coś przeczytać. Przede wszystkim były informacje o zrzutach. Zrzuty były nawet na naszą ulicę. To był zrzut ze Związku Radzieckiego: kapusta kiszona suszona z kawałkami mięsa. Pamiętam jak łapaliśmy to. Natomiast, jeśli chodzi o zrzuty broni, to u nas nie było żadnych, najczęściej to się dostawało do rąk niemieckich.

- **W kawiarence naprzeciwko, o której pani mówiła, odbywały się może jakieś przedstawienia albo koncerty?**

Były koncerty fortepianowe i nawet raz sama brałam udział, bo uczyłam się pięć lat muzyki. Chociaż zupełnie, mówiąc szczerze, słoń mi nadepnął na ucho, ale kiedyś taka była moda, że panienka musiała grać na fortepianie. Zagrałam piękną pieśń, która się nazywa „Chór aniołów” i dostałam wielkie brawa, bo rzeczywiście pięknie to wykonałam.

- **Życie kulturalne też się toczyło?**

Do tej kawiarni wiele osób przychodziło, różni muzycy grali, ale to już najczęściej dla grup, które należały do danego plutonu. Przyznam się, że cały czas nie mogliśmy zrozumieć, jak to jest, że garstka powstańców, mająca tak mało broni, broniła się tak dzielnie. Niemcy myśleli, że mamy dużo broni i do Śródmieścia długo nie wpuściliśmy Niemców. Najbardziej zaatakowali Wolę, tam wszystkich wyrznęli, wystrzelali, bez litości, nawet kobiety na wózkach ze szpitala. Miałam tam znajomą, matkę mojego kolegi, to też ją zastrzelili. Nie chcieli ich nigdzie brać.

- **Czy spotkała się pani z jakimiś przedstawicielami innych narodowości, którzy walczyli w Powstaniu?**

W samym Powstaniu nie. Wiem tylko o swoich znajomych, którzy byli w partyzantce na Słowacji. Dowiedziałam się też, że mojej koleżanki ojciec jako Słowak przystąpił do Niemców, ale jak się okazało pracował na dwie strony. Był w Armii Krajowej słowackiej, a przed wojną był w poselstwie słowackim. Nawet mnie jako młodą dziewczynę z koleżanką, zabierał do klubu, bo mamusia chciała sobie pospać. On nas zabierał na Aleję Róż.

- **Z kim się pani najbardziej przyjaźniła podczas Powstania?**

Z Zosią Zarembiną, która była w szpitalu i mnie właśnie ściągnęła z baonu „Iwo”. Zrobiła to przy pomocy lekarza, który napisał jakiś rozkaz i dostałam hasło na tą noc, której przechodziłam przez Aleje Jerozolimskie i mogłam się dostać do szpitala na Moniuszki. Z Zosią byłam cały czas dopóki nie przyszedł jej narzeczony ze Starego Miasta, który był ranny. Wtedy ona zostawiła nas i poszła go pielęgnować do mamy na Chmielną. Potem przyszli wszyscy razem żegnać się, jak szli do obozu. Zosia z narzeczonym przyszli się pożegnać z jeszcze jedną dziewczyną, która go uratowała. Obie trafiły do obozu, z tym że do innych baraków. Mężczyzn wzięli za siatkę do jeszcze innych baraków. One nie miały do nich dostępu. W czasie bombardowania, barak, w którym była moja Zosia został zniszczony. Stasia, ta druga, która go uratowała została, a Zosię wywieziono w głąb Niemiec. Kiedy Amerykanie weszli do Turynii, potem cofnęli się do Bawarii, Zosia jeździła i szukała swojego narzeczonego. Przyjechała tego dnia, kiedy on brał ślub z tamtą, która mu uratowała życie. Zawiedziona była. Potem czekała, myślała, że się z nią ożeni. Trzy żony miał. Ona zaś wyszła za mąż za lekarza medycyny, który też był w obozie jenieckim.

- **Co się działo z pani rodziną podczas Powstania?**

Braciszek w czasie Powstania był u dalszej rodziny, u bardzo zacnych, wspaniałych ludzi. Mąż kuzynki był specjalistą od metali kolorowych, a w domu reperował broń. Nie był z naszego pułku. Oni zabrali mojego młodszego brata. Potem jeszcze ojciec się dostał do nich, kiedy był po dwóch operacjach na drogi moczowe. Przebywali razem pod Warszawą na jakimś lotnisku. Wtedy, kiedy mój brat był ranny, kiedy całą noc siedziałam przy nim, to po niecałym tygodniu pojechałam do kuzynki i przywiozłam ojca. Lekarze mówili, że nie widzą nadziei, żeby chłopak przeżył. Pamiętam jak furą jechaliśmy z ojcem, który miał dreny i butelki w kieszeniach, do których spływał mocz. Jak tylko przyszedł do tego szpitala, to był tak zmęczony, że tylko ucałował brata i powiedział, że już nie ma siły. Ojciec pojechał do kuzynki, a bracia moi byli po stronie niemieckiej. Nowogrodzka i Poznańska były opanowane przez Niemców od początku i ich wyciągali początkowo z domów, na Nowogrodzkiej 43, żeby rozbierali barykady polskie. Po jakimś czasie im się udało zbiec do Ożarowa, gdzie mieszkała moja babcia. W nocy szli w kartofle, chowali się, bo Niemcy zgarniali i wysyłali do Niemiec. Któregoś dnia dopadli ich Niemcy i pojechali na roboty do Austrii i tam gdzieś w okolicach Linzu pracowali. Było wspaniale zorganizowane Biuro Poszukiwań Rodzin, zresztą przez babcię mojego narzeczonego w Łowiczu. Ona nas wszystkich kontaktowała, tak, że ja będąc w Berlinie miałam kontakt z moimi braćmi, którzy byli na robotach w Austrii. Wkładali fety, tak zwane wcinki spożywcze do kopert i przysyłali nam. Dzieliłam się z kolegami, z koleżankami w Berlinie, mogliśmy sobie nawet jakieś danie wziąć, a że dobrze byliśmy wszyscy ubrani, to nikt nie wyrzucał nas z barów niemieckich. Jak się miało fety, można było usiąść i zjeść jakieś danie. Zawdzięczam to braciom, którzy w ten sposób mi pomagali. Potem bracia moi uciekli, dostali się do Włoch, do Andersa. Jeden był jeszcze młody, więc poszedł do szkoły, a drugiego zaciągnęli do wojska.

- **Wróćmy jeszcze do Powstania. Chciałam zapytać jak wyglądała sprawa żywności, ubrań, jeszcze podczas Powstania?**

Jak zostałam przydzielona do baonu „Iwo”, to natychmiast dano mi przydział pokoju, który mieszkańcy musieli oddać dla żołnierzy na Marszałkowskiej przy Wspólnej. Tam spałam i spędzałam czas wolny.

- **Jak wyglądał czas wolny?**

Odwiedzałam koleżanki, które były na terenie. Miałam koleżankę sanitariuszkę, łączniczkę, obecnie lekarza, Barbarę Mięśowicz z męża Chojecką na Wilczej. Jak już odeszłam na Moniuszki, miałam też koleżankę Ksenię, która była ze mną w „Szarych Szeregach”. Jej matka na piecyku jakąś zupełnie zawsze robiła i częstowała mnie jak przychodziłam. Potem miałam kolegę na Żurawiej, gdzie mieszkała przedtem moja ciocia. Jego mama mnie czasami karmiła, a normalnie mieliśmy przydział na chleb i marmoladę. Chodziło się na punkt, rano się zabierało na kolację i w czasie obiadu w miskę czy w garnek dostawało się zupełnie. Jak byłam już na Moniuszki, to moja kuzynka, bardzo zapobiegliwa, miała dużo masła zrobionego i mąki. Ja to mieszałam z wodą i smażyłam naleśniki. Też tak samo w szpitalu był przydział i tak samo żołnierze dostawali chleb, jakiś tłuszcz, najczęściej smalec i zupełnie. Zupełnie początkowo same robiłyśmy na pierwszym piętrze, a potem jak Niemcy bombardowali ulicę Moniuszki, to już dostawaliśmy ze szpitala przydział. Będąc pod siódmym w piwnicach, kiedy musieliśmy żołnierzy przetransportować do piwnic, któregoś dnia zaczęło się bombardowanie. Poschodziliśmy wszyscy do piwnic i zamknęliśmy drzwi wyjściowe, ale impet był tak straszny, że wywalił drzwi i zabił kilka osób, które bliżej stały. Pamiętam jak lekarz, który miał małą córeczkę, wpadł w szal i po prostu był nieprzytomny. Tylko krzyczał i tylko dzieci ratował krzycząc: „Dzieci! Gdzie są dzieci!? Dajcie mi dzieci!”. Krzyczeli też, że leży hrabina, właścicielka budynku, w którym byliśmy. Obok znalazł się jej mąż i ktoś już zdążył ukraść pakunek, w którym miała wszystkie kosztowności. Drugi lekarz próbował ją ratować, ale już nie dał rady. Byłam na szczęście dosyć daleko od drzwi wtedy.

- **Pamięta pani, kiedy to było mniej więcej?**

To już była druga połowa Powstania. Wtedy, kiedy było bombardowanie Filharmonii.

- **Jak wyglądało to bombardowanie?**

Pamiętam tylko domy zrujnowane, które były poprzębijane na pół i wisały łóżka. Bardzo dużo domów było tam zniszczonych. Cała ulica, kościółek, który tam stał był zmieciony z powierzchni i już więcej nie powstał. To była kaplica, też tam się modliliśmy początkowo. Kiedyś mieszkałam na Marszałkowskiej 125, obok Moniuszki i też chodziłam jako młoda dziewczyna do tego kościoła. Wtedy należałam do grupy „Teresek”, byłam bardzo religijnym dzieckiem. Potem przeprowadziliśmy się na Nowogrodzką i poszłam już do szkoły na Hożej, gdzie przygotowywała mnie do komunii siostra Weisenhofs. W czwartym oddziale szkoły powszechnej chodziłam do żeńskiego gimnazjum na Hożę i tam w kościele na Placu Trzech Krzyży brałam pierwszą komunię.

- **Jakie jest pani najgorsze wspomnienie z Powstania?**

Te momenty przy czołgach. Jak byłam na trzecim czołgu, na górze, widziałam uciekające kobiety. To było od razu pierwszego dnia.

- **Co najbardziej pozytywnego utkwiło pani w pamięci podczas Powstania?**

Najprzyjemniej to mi było, kiedy na Moniuszki zobaczyłam drugą Zosię. Do końca życia się z nią przyjaźniłam. Też była sanitariuszką. Starsza była ode mnie. Ona się tak cieszyła, jak przyszłam. Powiedziała, że się modliła, żebym się znalazła i żebym przyszła. Bo rzeczywiście się bardzo przyjaźniłyśmy.

- **Jak pani pamięta moment kapitulacji?**

To był strasznie przykry moment. Wtedy, kiedy ogłosili kapitulację, wolno było wszystkim chodzić po Warszawie. Niemcy tylko w zaułkach domów stali na straży, więc postanowiłam pójść na Nowogrodzką zobaczyć mój dom. Okazało się, że druga część domu stoi, bo pierwsza w 1939 roku została zburzona, ale jeszcze od podwórka była oficyna. Gospodyni tego domu mojemu ojcu, jak wrócił dała mieszkanie. W czasie okupacji ludzie byli sobie tak przyjaźni, tak pomocni, tak serdeczni, tacy prawdziwi, że weszłam do umeblowanego mieszkania taty. No i to ojczyisko, bez żony, męczył się z nami - trójką dzieci. Pracował w ZUS-ie, potem ja pracowałam już jako młoda praktykantka, po szkole zawodowej ekonomicznej. 1 sierpnia, w czasie wybuchu Powstania, nie dokończyłam wszystkich egzaminów maturalnych. Została mi matematyka, moja kula u nogi, która do dzisiejszego dnia po nocach mi się śni. Maturę zrobiłam w Centrali Szkolnictwa Polskiego w Monachium, będąc rok po wojnie jeszcze w Niemczech. Byłam w mieście Dłużyn, gdzie ukrywała się dywizja niemiecka. Jak oni wyszli, to wzięli Rosjan, a jak wszystkich Rosjan zabrali do Związku Radzieckiego, to tam umieścili około dwudziestu tysięcy Polaków. Zrobiono szkoły, administrację.

- **Skończyło się Powstanie, wywożono rannych...**

Tak, do Częstochowy. Wieźliśmy ich do Częstochowy, ale niestety mnie zrzucano na dół i w Pruszkowie zostałam.

- **Co dalej się z panią działo w Pruszkowie?**

Uświadomiłam sobie, że mam dowód mojej siostry stryjecznej, która zmarła i ojciec, jak załatwiał pogrzeb, jakoś tak się z policjantami dogadał, bo kiedyś był komisarzem policji, że ten dowód schował do kieszeni. Potem dał mi go i wymeldował mnie z Nowogrodzkiej na Leszno. Mam nawet w kenkarcie Leszno. Po prostu strasznie się bał o nas, bo pewnego dnia wpadli Niemcy do domu na Nowogrodzką 43, do oficyny. To już było późno wieczorem, ale jeszcze nie spaliliśmy. Ojciec kazał iść wszystkim do łóżek i rozlać kamforę. Jak Niemcy poczuli ją, to już żadnej rewizji nie robili, tylko się wycofali. Oni strasznie się bali tyfusu, chorób, bardzo się bali. Po tym już mnie ojciec wymeldował na Leszno, bo się strasznie bał. Byłam tą jedną, jedyną córą. Każde z nas należało do organizacji. O sobie za bardzo nie wiedzieliśmy, bo się takich rzeczy przecież nie opowiadało, ale ojciec wiedział, że się chowa gazetki.

- **Proszę opowiedzieć o pobycie w Pruszkowie.**

Nie wykorzystałam dowodu. Nie wiem, dlaczego właściwie. Nie wiem, na co ja liczyłam, naprawdę. Po prostu myślałam, że raczej może braci spotkam. Ten dowód, potem w Berlinie, dałam Żydówce, Krysi Frędzel, która dzięki temu dowodowi uratowała się. Ja z Berlina uciekłam.

- **Z Pruszkowa do Berlina pani trafiła?**

Do Berlina, tak. Ponieważ zakwalifikowano mnie do obozu chorych, to tylko kilka dni pracowałam. Pracowałam przy gruzach, przy czyszczeniu cegieł. Jak była jeszcze połówka cegły nadająca się, to ją czyściłam. Pracowałam z Żydami. Otóż pracowałam z emerytami - małżeństwami, gdzie na przykład on był Niemcem, a ona Żydówką. To byli profesorowie. Ich czasem do obozu nie zabierali, tylko musieli ciężko pracować dwanaście godzin. Z takimi ludźmi ja pracowałam. Wtedy przygniotła mnie przyczepa, bo powiedzieli, że jak szybko wyładujemy, to pójdziemy do domu. Wtedy nikt inny, tylko ci właśnie Żydzi, których nie lubiłam przedtem, okazali mi wiele serca. Grzebyki, jakąś bułeczkę, mydełko - wszystko mi dali i tak się tym wzruszyłam, że przestałam mieć jakąś nienawiść do Żydów. To mnie uleczyło.

- **Jak długo tam pani była?**

W Berlinie? Do stycznia. W styczniu, kiedy po tym wypadku, mieliśmy higienistę Niemca, który kontrolował, komu dać zwolnienie, a kogo wysłać do pracy, miałam brzuch mocno zgnieciony, siny bardzo i znów byłam na zwolnieniu. Oprócz lagerfurera była Ukrainka, którą przydzielili, jak kobiety warszawianki przyjechały. Jak dowiedziałam się, że jestem przeznaczona do obozu chorych, to prędko pobiegłam do kierownika i błagałam go, żeby mnie nie wysyłał. Wiedziałem, co mnie może czekać w czwartek. Zawsze w czwartek zabierali do domu chorych, na Aleksander Plac do domu publicznego. Wystarczyło, że dziewczynę z chłopakiem złapali gdzieś na schodach po dziesiątej, to już w czwartek szła do domu publicznego. Potem się dopiero inni dowiadywali, że one tam są, za byle jakie przewinienie. Wracając do tematu, niestety wyjeżdżał transport Polaków, którzy poprzednio byli w Austrii, do Turyngii na roboty budowlane i zdecydowałam się z nimi uciec jako jedyna kobieta. Przebrana byłam za chłopaka. Prawie dwa tysiące było ludzi. Tysiąc pojechało z nami, tysiąc zostało. Jechaliśmy tydzień i w pewnym momencie poczułam, jako kobieta, że intymne sprawy muszę zażegnać. Wyskoczyłam do studni, bo widziałam, że woda leci i w tym momencie pociąg odszedł. Siedem dni go goniliśmy w trzy osoby. Ze Ślązakiem i z moim późniejszym mężem. Ślązak na stacjach szedł do telefonu i szukał, gdzie towarowy pociąg odstawili na bocznice, bo transport żołnierzy musiał jechać czy transport z żywnością, czy z czymś. Siedem dni jechaliśmy do Turyngii.

- **Dotarliście w końcu?**

Dogoniliśmy ich. Przyjechaliśmy do miasta Krawinkel, gdzie były sztolnie. Część poszła do sztolni, a część niekarnych do koncentraka. Pasiaki założyli im, a czterdziestu stolarzy dali do Krawinka do stolarni. Stolarze mnie tam cały czas ukrywali. To wiedział jedynie kierownik, bo mąż jemu zawsze pomagał przy robieniu list płacy. On udawał, że mnie cały czas nie widzi, ale pod koniec wojny, jak się robiło już gorąco, to był wystraszony. Chciał koniecznie, żeby mąż, który zna doskonale niemiecki, bo jako dziecko mieszkał w Pabianicach, pojechał do Drezna, bo tam kierownik miał swoją żonę i synka. Żeby ich przywiózł kierownikowi. Ja miałam zostać jako okup. No i tak było. Mąż mu przywiózł żonę i synka, ale jak przyjechał, to za kilka dni już było widać koniec wojny. My nie wiedzieliśmy, że Amerykanie są blisko. Byłam w stołówce dla dziewcząt, które prowadziły dziewczęta z Hitlerjugend. Jak pierwszy raz przyszłam, to pamiętam jak jedna, która znała polski powiedziała: „Polska świnia przyszła.” A ja sobie pomyślałam, że jeszcze zobaczą, co to znaczy. Wstawałam o piątej, wszystkie kotły zapalałam. Jak one przychodziły, to miały wodę ugotowaną, wszystko przygotowane. Kucharz do ostatniej chwili się nie zdradzał, że zna język polski, ale podziwiali mnie i przynosiły te dziewczyny potem różne smakołyki z domu. To były córki

wysokich rangą oficerów. Zależnie od wieku, jedna pracowała cztery godziny, inna sześć i tak jakoś polubiły mnie. Nas zaopatrywali w tej kuchni więźniowie z komenderówek i z obozów koncentracyjnych. Obóz koncentracyjny to jeszcze był komfort, ale komenderówki to były niskie baraki, gdzie tylko były prycze i worki z cementem. Jak rano ktoś umarł, to mu zabierali wątrobę i zjadali z głodu. Ci heftlindzy zaopatrywali naszą kuchnię. Dziewczyny dawały mi klucz od piwnicy, bo wiedziały, że oni jeszcze sobie wezmą czy kapustę czy kartofle. Trochę im dawałam, żeby się najedli. Tam straszne były rzeczy. Jak przyszedłam raz na górę i kiedyś wszedł Niemiec i zobaczył, że nie mam „P”, to dzielił mnie tak strasznie, że dziewczyny z chochlami rzuciły się na niego i o mnie dobrze mówiły. Pokazałam im, co znaczy być Polką.

- **Jak pani pamięta moment wyzwolenia?**

To był moment, można powiedzieć, nie do uwierzenia. Znalazł się jakiś młody człowiek, który przybiegł i powiedział, że Amerykanie są blisko, że mamy do nich iść. Wzięłam jakiś kij, ręcznik biały sobie przyczepiłam i czterdziestu mężczyzn ze sztolni i ja jedna kobieta szliśmy do nich. Szliśmy nocą, ale to nie było daleko, bo szliśmy do miejscowości Ortruf, położonej jakieś siedem kilometrów od Krawinkla. Latały nad nami samoloty. My durni myśleliśmy, że to może niemieckie. Potem w pewnym momencie zobaczyliśmy czołgi i się przeraziliśmy. Sobie szliśmy. Jak Amerykanie zobaczyli grupę ludzi, to krzyczeli, żeby szybko biec, bo tam było duże przedpole, może z pół kilometra przed Ortrufem. Tam z czołgów po prostu bili. Ale zanim tam się dostaliśmy, to Amerykanie przynieśli nam czekolady. Biały chleb zobaczyliśmy po raz pierwszy. Obdarowali nas, ale powiedzieli, że mamy szybko iść do Ortrufu. Przyszliśmy, a tam miasteczko, które się poddało. Wszędzie białe flagi, prześcieradła w oknach. Amerykanie już tam byli. Tam w szkole razem z Amerykanami, bo Amerykanie chętnie z Polakami siedzieli, bojąc się do niemieckich domów iść, przesiadaliśmy może pięć dni. Przypomnieliśmy sobie, że w swojej miejscowości zostawiliśmy plecaki. A idąc, przed samym wejściem do Ortrufu, stał piękny hotel. Niemcy stamtąd uciekli, na pierwszym piętrze były sypialnie piękne, w środku szafy ze szlafrokami, z kurtkami. Jeden z kolegów powiedział, że bym sobie coś wzięła. Zabrałam włochaty kapelusz, z czego mąż się śmiał całe lata. Wróciliśmy do naszego Krawinkla, po stare plecaki. Okazało się, że tego dnia tam weszli Amerykanie, tylko rano kilka godzin wcześniej. Niemcy już opaski sobie pozakładali, pędzili naszych Polaków, żeby grzebali zmarłych. Tam była straszna jatka. Czołgi niemieckie tam się pochowały i Amerykanie wybili wszystkich. Ci Niemcy co tam zostali, opaski pozakładali i krzyczeli, że mamy ich chować. Mój mąż niewiele myśląc, złapał jakąś łopatę, uderzył jednego i powiedział: „Teraz my będziemy wam kazać, a wy będziecie grzebać.” No i tak się stało.

- **Co się z panią działo już po maju 1945 roku?**

Byliśmy w Turynii. Pewnej nocy, o dwunastej zjawili się Amerykanie i powiedzieli, że zabierają nas do Bawarii, bo tu będą Rosjanie. Ameryka oddaje Turynię Rosjanom i oni chcą nas uchronić, żebyśmy nie weszli w ręce Rosjan. W nocy wzięli nas na dżipach. Najśmieszniejsze było, jak powiedzieli: „Zabierzcie, co macie.” Ale dowiedziałam się, że jest tam jakiś skład z radiami. Wszyscy je brali. Zawieźli nas do miejscowości, która przed wiekami nazywała się Jarzyn, gdzie osadzali nas w pięknych, pobudowanych dla dywizji niemieckiej barakach. Tam spędziliśmy rok. Był oczywiście transport wcześniejszy. Koleżanki i koledzy wyjeżdżali. Nawet mój świadek ślubny wyjechał. Bo tam wzięłam ślub. Świadkiem był znany bardzo malarz, który zachorował psychicznie. Musieliśmy go oddać do szpitala i potem już jak wrócił, to się wstydził. Pięknie

malował. Został moim świadkiem, bo był warszawiakiem. Dostał się z Buhenwaldu, z obozu. Przed samą wojną namalował najpiękniejszy obraz i należała mu się ze Stanów Zjednoczonych, z Nowego Jorku nagroda, ale wybuchła wojna, i jej już nie dostał. Postanowił za wszelką cenę odebrać ją po wojnie. Przez oficerów łącznikowych wysłał nawet list do Stanów, że on tutaj mieszka.

- **Po roku wróciła pani do Polski?**

Poszłam tam do szkoły, do liceum przygotowawczego. Po liceum, w Centrali Szkolnictwa Polskiego w Monachium, były egzaminy maturalne. Trzykrotnie jeździłam, bo a to wyjechali do Andersa, a to do Holandii do Maczka. W Centrali Szkolnictwa Polskiego najpierw zdałam polski. Pamiętam temat: „Czy << Pan Tadeusz >> może trafić pod strzechy wieśniacze?” Jak dyrektor przeczytał to, powiedział, że polski już zdany. Jeszcze matematyka została. Powiedziałam, że ja jej nie skończyłam wcześniej i na pewno nie zdam. Biedny dyrektor stał obok, jak pierwsze zadanie zrobiłam, to drugie mi pomógł. Ale i tak całe życie śni mi się, że zdaję egzamin z matematyki.

- **W jaki sposób pani wróciła do Polski?**

Były normalne transporty. Ponieważ byłam powstańcem to od razu miałam prawo, tak jak księża, wybrać sobie, dokąd chcę jechać w Stanach. Mogłam się tam osiedlić. Ponieważ już miałam męża, więc mogłam jego zabrać. Spróbowaliśmy z mężem i pojechaliśmy na stronę Amerykańską na konsultację podać wszystkie swoje dane. Wieźli nas nocą i wtedy zauważyliśmy ludzi, którzy w poprzednim, niedalekim okresie zhańbili się. Po prostu kradli pod pretekstem, że są pracownikami. Okazało się, że z policjantami napadali. Ci policjanci, jak się później okazało, to mieli wytatuowane i to byli folksdojczce. Zupełnie pomyłkowo ktoś powiedział, że całym hersztem jest kierownik dziewiątej kuchni, a kierownikiem dziewiątej kuchni był mój mąż. Policja bojąc się, że się to wyda, przyszli, męża zabrali i wsadzili go do więzienia. Poszłam od razu do prezydenta, bo mieliśmy tam też prezydenta i całą administrację i powiedziałam, że męża aresztowali. On zadzwonił do inspektora policji. Inspektora policji też wzięli od razu i zamknęli w więzieniu, a ja już zdążyłam iść do prezydenta i się poskarżyć, bo naczelnikiem wydziału był brat Sokolskiego. Sokolski z żoną to byli tacy przybrani rodzice. Opiekowali się mną, bo stracili córkę w Powstaniu. Oni interweniowali, wypuścili mnie. Zbiegłam na dół do oficerów łącznikowych, powiedziałam o tej całej historii, że to jest pomyłka, że to nie mąż, tylko tamten kierownik. Przyjechali dżipami, sterroryzowali całe miasteczko, odebrali policji broń i się okazało, że w tej policji jest dużo esesmanów wytatuowanych i że to oni napadają właśnie. Męża zwolnili, mianowali inspektorem UNRY, jako człowieka zacnego, wspaniałego, który zorganizował aż dziewięć kuchni na terenie. Tak ta historia się skończyła, a ja za trzecim razem, bo trzy razy tam jeździłam do Monachium, dostałam świadectwo maturalne, które tu pozwoliło mi wejść od razu w 1947 roku na uniwersytet do Łodzi.

- **Czy była pani jakoś represjonowana w Polsce?**

Nie. Najlepsze wyjście, to by było iść ujawnić się i w ZBOWiD-zie pracować społecznie, bo jak się ujawniło, to aresztowano. W sumie pracowałam czterdzieści trzy lata. Biorę udział w Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów Obrońców Ojczyzny, jestem członkiem Synów Pułku, a także VII Pułku Piechoty Stowarzyszenia Armii Krajowej na Koszykowej. Spotykamy się wszyscy do dzisiaj.

Warszawa, 21 listopada 2005 roku
Rozmowę prowadziła Aleksandra Żaczek



T. 5060/WSK

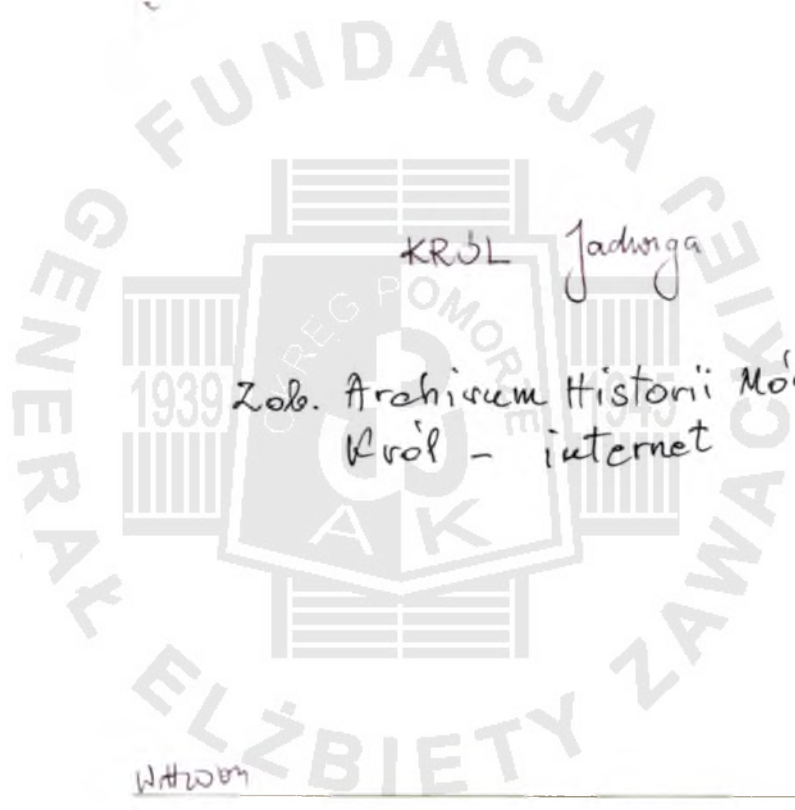
++

KRÓL Jadwiga
z d. Piekacz
ps. "Halszka", "Lancet"

AK W-ura
Poczt. Wars

̄. Wypisy ze źródeł → nazwiskowe karty informacyjne 4

W-wa



KRÓL Jadwiga

Zob. Archiwum Historii Morskiej - Jadwiga
Król - internet

WAW

☞ i
++

T. 5060/WSK

AK
Powstanie

PIEKACZ JADWIGA

ps. "Malszka", "Lancet"

zob.

Król Jadwiga

K. Puc. 20130.

T. 5060 / WSK

AK
Ww

KRÓL Jadwiga ps "Sencet"

Zemien 7 pp gantuch WSK

y. Kulesze -
"gantuch"

Ww 2004

str. 175

70t 5/2

K Mal / 07

i

AK
W-W

KRÓL Jadwiga
ps. "Lancet"
Zob. Nekrolog. G.W. styczeń 2011.

D.kw. IV 2002.; BR, 2020.

T. 5060/WSK

⁺⁺ KRÓL Jadwiga
z d. Piekacz
ps. „Halszka”, „dancet”

VI. Fotografie:

- Fotografia Jadwigi Król ps. „dancet” -
wydruk z internetu z dn. 21.11.2005



VI/1



Jadwiga Król, ps. „Lancet”

Wydruk z internetu - Archiwum
Historii Młodszej - 21.11.2005.

KKOL Jadruga



B[®]
BARBARA
CZUCHÓW

TECZKA WIĄZANA
"BEZKWASOWA" 250G

